



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

— Co tam słyhać?
— Gdzie?
— Na mieście.
— Ach, jak zwykle: kurz, podejrzane zapachy, człek robi piersią, jak miech kowalski a poci się okrutnie.
— I nie między sobą nie szepcą?
— Parę wzdychań posłyszałem nawet.
— Z gorąca?
— Oczywiście!
— Oj, bo że gorąco to gorąco! Pocą się więc ludzie a wzdychają do obniżonej temperatury. Prawda?
— O ile zauważyć mogłem, to wzdychają po zamkniętym totalizatorze.
— Słyszałem, że zgrywali się na potęgę?
— Okrutnie, ale dzielne chłopcy. Znałem trzech lksów, którzy dziś jednej, własnej już nitki na grzbiecie swoim nie mają, bo znajomy krawiec pewien surduty im na kredyt porobił, ale nie poznałbyś po ich zarumienionych a uśmiechniętych twarzach, czołach podniesionych i z tej fantazyi, z jaką opuszczają każdą restauracyę, gdzie po spożyciu wieczery dość sutej, raczyli się dobrym koniackiem po czarnej kawie, że los zdradziecki tak okrutnie ich zawiódł. Ja nawet, dowiedziawszy się o ich niepowodzeniu, miałem więcej skonfundowaną minę, niż oni. Spotykam ich, podaję dłoń w mileczeniu, ściskam za ręce z pewnem uczuciem litości i mówię szepem:
— Zgraliście się, panowie!
— Więc co?
— Przykre to jest—
— Ale nie pierwsze i nie ostatnie—

— Odbijemy na wiosennych wyścigach —
— Za czub los chwycimy —
— My się nie poddamy tak łatwo!
— Naprzód zawsze a z dobrą wiarą!
— Nie nas zmódl!
— Nie nas!...

Patrzałem z rozrzewnieniem i z rozrzewnieniem słuchałem słów dzielnych młodzieńców, którzy z takim hazardem na rękę wyzywali los niepewny. Co za energia, co za fantazyja, co za zapal a jakie blaski w oczach! Ubierali się na kredyt, jedli wieczere za pożyczone pieniądze, pili koniak na kredkę, a jednak nie złorzeczyli totalizatorowi, tylko, jak jeden mąż gotowi znów stanąć przed tajemniczym okienkiem i parę setek postawić na „Hultaja“ lub jaką wyścigową kobyłę. Porwałem ich w szeroko rozwarte ramiona i głosem podniesionym, ozwałem się:

„Ty ze lwim sercem młodzieży nie trwoźna!“

— A cóż oni na to? — zapytał mnie mój przyjaciel.

— Prosimi bym dalej *improvizował*, bo zacząłem tak pięknie.

— Tegie głowy! — rzekł mój przyjaciel.

Po chwili zapytał:

— I cóż jeszcze?

Ja na to:

— Wolałbym żebyś odpowiadał, a ja pytał. Bo melankolia siedząca w wątrobie, wedle zdania pana Zagłoby, tak mnie przykuła do czterech ścian mego pokoju, że dotąd żadnego ogródka nie zwiedziłem, do teatrzyku nie zaszedłem, Dolinę szwajcarską ominałem, jakąś bagatelką Bagatelę zbyłem, nawet kolejką willanowską nie udałem się do Morysinka, gdzie, przepędzając lato w Warszawie, najchętniej bywam, a już to w jakiej stronie leży Saska kępa zapomniałem zupełnie. Prowadzę sobie żywot anachorety, rzadko widuję ludzi i ludzie mnie nie często widują, a jeżeli spotkam się, ot—jak z tobą, naprzykład, to w innych barwach świat się nam nawet przedstawia. Ja widzę szarość wszędzie a ty

zieloność. Dla mnie ziemia jest szarą, ludzie szarzy, szare serca, myśli i głowy, a ty, zakochany w kolorze majowym, widzisz ziemię zieloną, niebo zielone, serca zielone i w głowach bliźnich swoich zielone mózgi dostrzegasz. Być może, że słuszność przy tobie, toć przecie wiosna jest w pełnym rozkwicie, oddychająca wonią róż, szumiąca lasami i trawami niw, tyle słodkich marzeń na skrzydłach wiatrów niosąca, do lubyh snów nas kołysząca zielonemi sztandarami drzew, że w oczach nam coraz bardziej zielenieje. Nie będę więc spierał się z tobą, co do barw, jakie widzimy: szarzyzna i zielenina, jeżeli nie rodzone—to bądź co bądź—przyrodnie są sobie siostry. A tymczasem pogoda się ustatkowała: „niebo tak wszystkie chmury wzięło w siebie, że ledwo co nie widać Pana Boga w niebie“, deszcze przeszły, gromy przegzmiały a pioruny przecie z rozjaśnionych błękitów nie biją.

Zupełnie więc jest cicho, zupełnie spokojnie, Spokoju świat używa, nie myśli o wojnie— A wiadomo, że wiosną i człowiek i zwierzę, Zawierają przyjaźni serdecznej przymierze. W cichych stawach spokojnie kaczy ród się

[mnoży]
Połysk myśliwskiej broni cyranek nie trwoży— Spokojnie, że nie pójda smakoszom na wety— To też radosnych gwarów pełne oczerety, I, usiadłszy na brzegu, możesz dojrzeć zdala, Gdzie srebrnymi łuskami rysuje się fala I za sobą twe oko rozmarzone wiedzie: Stadka kaczek płynących z kaczoem na prze-

[dzie].
Blisko ciebie przepływa gromadka nietrwożna, Wie dobrze, że bezkarnie dotknąć jej nie można, Płyną blisko, lecz zawsze w pewnem oddaleniu, Mając las trzcin za sobą, by się ukryć w cieniu, Bo człowiek—o tem dobrze wie kaczor prze-

[chera],
Człowiek najświętsze czasem traktaty rozdiera— Więc czujność nie zawadzi, ani wzrok podwójny:

Wódz dobry, podczas nawet przymierza—jest [czujny].
Kaczki! pływajcie spokojne—zawód was nie czeka—
Pies może niecierpliw z tęsknoty zaszczeka—
I, bezsilny swym gniewem, tylko się zapieni,
Że musi na okazy czekać do jesieni.
To też nawet tchórz-zając, o zającą dołą
Spokojny, na otwarte wyskakuje pole,
Chart nie pomknie dziś za nim, ani broń my- [śliwska,

Niosąca zgubę pewną, zagrzmie i zabłyska,
Ani młode zajączki ze strachu się trzęsą,
Że gdy dorosną, wtedy pójda nam na mięso.
Zajac! po zielonym dzisiaj skacząc łanie,
Później do nas przyjdziecie, duszone w śmietanie.
Teraz wiosna, spokoju czas, święto przymierza—
W piersi ludzkiej szlachetnie dziś serce uderza,
Na psie pyski włożono kagańce, by który
Nie chciał się prawem świętym sprzeciwić natury
I na grzbiecie wam krwawe pozostawić znac- [ki —

Skaczącie sobie zając! wy—pływajcie kaczki!
O wiosno! w roku całym jest to jedna chwila,
Gdy się człek boi dotknąć skrzydełka motyla,
Zepsuć gniazdko ptaszkowi, nawet dla komara
Ma litość pewną: nie zgnieść, lecz się spędzić [stara,

Gdy usiądzie na dłoni, bezsilny, niewielki
Nie dla spoczynku wprowadzie, lecz dla krwi

[kropelki].
Przebacza ten ból marny, boć on głodny może,
A zresztą i ten komar—to stworzenie Boże.
Jedyna wiosna tylko czar taki roztacza,
Że człowiek kocha wszystkich i wszystko prze- [bacza—

Że miłość w sercach nawet nieczułych się bu- [dzi—

Gdy się kocha zwierzęta, cóż dopiero—ludzi?...
Ach! tu się już zaczyna prawdziwa sielanka:
Do ramion ukochanych tuli się kochanka,
A szczęście, rozkosz życia czuje w każdym ner- [wie,

Bo wie, że wiosennego nic jej snu nie przerwie,
Że jeżeli kochanka dziś wita uprzejmie,
To jutro i pojutrze ramieniem obejmie
Tak samo, bo to wiosna, dni słodkiej rozkoszy,
Dni, w których chmurka żadna radości nie płoszy.
I z rozczuleniem matka spogląda w twarz syna
Namęczył się, lecz dobrze skończył egzamina,
Na łonie teraz może odpocząć rodziny —
A dumą przecie naszą, to są nasze syny.
Idźże, dziecko, w otwarte rodziców ramiona!
Tuli ojciec do piersi a macierz do łona
I wiosniane sny gonią i marzą radosno—
Boć dziecka od ich piersi nic nie weźmie — [wiosną:

Zamknęły się drzwi szkolne i kajeta szkolne
I bując teraz może, jako ptaszę—wolne!
Maż uczony od księgi spracowaną głowę
Odjął, gdzie rzucił myśli i poglądy nowe—
A choć oczy zmęczone ma i rękę drżącą—
Ale czuje nad sobą dłoń wiosny kojącą.
Zbliża się luba chwila spoczynku, oddechu —
Nic mu już z ust nie straci wesela uśmiechu,
Piersz zasilą zapachem balsamicznym sosny —
Spokojny jest, boć przecie to czas, to czas wio- [sny!
Poeta—tego radość do głębi przenika,
Że może się pieśniami nasycić słowika,
Folę dać myślom swoim i śpiewać radośnie
O tej, obłokiem żadnym nie przyćmionej, wiosnie
I, obwładając oczyma świat z końca do końca,
Błękitny brnąć w ramiona i gwiazdy i słońca.
Więc się cieszcie! Skwar letni czoła wam prze- [pali,

Jesień chłodem powionie, zimno—ostrzem stali
Przetnie marzenia wszystkie i serca oziebi,
Uściski mrozy rzuca, że aż włos się zdębi —
Wiosną tylko jest spokój, snem słodkim ujęci
Pod jej berłem możecie spoczywać nietknięci,
Mając nad sobą czyste przezrocza lazurów,
Zamiast śnieżnych namiotów i wilgotnych murów.
Więc się cieszcie i, wolni kłopotów i troski,
Na cześć przymierza wiosny zanućcie hymn boski!

A to co?

Jak babcię rodzoną kocham—rymy!

Ani się spodziewałem, że wiosna mię natchnie
tak dalece, bym, o niej aleksandrynami śpiewał.

Ale mnie dziwnie roztkwiło to bezpieczeństwo
podczas wiosny kaczek, zając i ludzi i, mimowoli,
na cześć tej najpiękniejszej pory roku spaliłem ka-
dzidła pochwalne. Lecz dość spojrzeć w oko, by
się przekonać, jak to wiosna ludzi jednoczy, jak
mimowoli do jej zieleni i kwiecia wyciągają się
wszystkie ramiona.

Szedłem sobie Nowym-Swiatem rozbłękitniony
spokojem kaczek i zając, naprzeciw mnie, ku Ujaz-
dowskiej Alei płynęła fala tłumu, ale, że to nie był
dzień świąteczny, dziwiłem się trochę temu tłuo-
wi, choć to zdziwienie moje, jak się później
okazało, było karygodnem. Tymczasem idę, patrzę
i na krótką zatrzymuję się chwilę. Jedzie jakiś
wózek z baldachimem rozpiętym na liściach pal-
mowych, na kołach i szpicach powoziku kwiatki, na
uszach konia (bo zaprzag ten o jednym był tylko
koniu) także kwiatki. On i ona — (nie wymieniam
nazwisk, bo nie znam siedzących pod baldachimem)
jadą wolno, a stangret prowadzi rumaka. Rzuci-
łem na ten ekwipaż przelotne spojrzenie rozbłę-
kitniony spokojem kaczek i zając i szedłem dalej,
aż oto, naprzeciw ulicy Smolnej, zatrzymał się bryk
jakiś usiany cały różami, że miał wygląd kosza we-
wnątrz i zewnątrz ubranego w te kwiaty.

Dalej wali powóz jeden, drugi, trzeci, wszystkie
w kwiatkach, a wśród kwiatów żywe kwiaty, z uśmie-
chem na ustach, z piersią falującą oddechem wiosny
i żądzą batalji, jaką stoczą za chwilę na równinie
mokotowskiego pola, pod samymi murami Warsza-
wy. Ach! ta ilość ukwieconych powozów dopiero
rozjaśniła myśli moje sennie — dopiero zrozu-
miałem ten pęd tłumu ku Ujazdowskim Alejom.

— To corso, corso! — zawołałem głosem wielkim
i zwróciłem swe kroki, tam, gdzie za chwilę odegra
się walka-kwiatów. Biegłem, rozpychając tłum,
(słowo państwu daję, że biegłem), zgubiłem, zdaje
się, kapelusz, ale co wrażeń, co wrażeń! bo „one
walczyły nie tylko potęgą swych oczu, ale kwiat-
ami—swemi najwierniejszymi przyjaciółkami“ Pa-
nowały więc radość i zgoda i przyjaźń mimo walki
zaciętej. O godzinie 8-iej p. o. Generał Guber-
natora ochmistrz Petrow, wspólnie z prezesem
Alfredem Czarnomskim, rozdał właścicielom wyróż-
niających się pojazdów ozdobne chorągiewki. Cie-
mności nocy dopiero przerwały zabawę, odjechały
pojazdy, rozproszył się tłum i ja ruszyłem w po-
dróż powrotną do siebie, myśląc o czarach wiosny,
mając usta pełne rymów, rozbłękitniony spokojem
kaczek i zając i świętem przymierzem wiosny, da-
jącej wszystkim spoczynek błogi.

Tę błogość jednak zatrął mi „Kurjer Codzien-
ny“, okrzykiem: „Zgroza bierze, gdy człowiek czyta
jadłospisy w większości restauracji warszawskich.
Oto kuchnia raczy gości: kotletami wieprzowymi,
jażombkiem, muszczkiem, boruwkami, cieleniną,
syrem i tmp. specyałami.“

Prawda, Szanowny Kuryerze—zgroza bierze! Ale
tam, jak powiadasz, kelnerzy piszą karty, lecz cóż
powiesz, gdy na wystawie higienicznej, spostrze-
głem napis sobie taki:

„Butelka do mleka dla dziecięcia?“ Zrobiłem
głośną uwagę jednej z pań, że niby to tak się nie
pisze—ale, czy brakująca literka znalazła się obec-
nie—nie wiem, bo wyjeżdżając na dni parę z War-
szawy, sprawdzić tego nie mogłem. Lecz czy moż-
na się dziwić już pisowni kelnerów, albo napisom, jak:
„tronków“ na szyldach sklepików, lub w oknach wy-
stawowych jakiegoś kramu: „font masła?“ Ja, po-
niważ, mam nerwy rozstrojone trochę i że wszelka
nieprawidłowość mię drażni, zachodzę bez cemo-
nii do pana kupca i mówię:

— Mości dobrodzieju! Tronek—pisze się przez u,
chcę zaś u ciebie kupić nie font masła ale funt
masła.

Prawda, że kupiec dziwi się trochę, tłumacząc
się, że zawsze tak pisał, ale czasami przekonać się
daje i błąd poprawia. Z panami restauratorami
nie inaczej postąpić potrzeba, bo jeszcze dojdziemy
do tego, że z powodu pisowni, nie będziemy wie-
dzieli, co nam na talerz do wzmocnienia sił naszych
podadzą.

Podczas naszej nieobecności odbył się „Jarmark“
w Dolinie Szwajcarskiej, na korzyść pracowni igły.
Wiemy jednak, że udał się świetnie, że orkiestra
pod dyrekcją Ertla cieszyła się, jak zwykle, wielkiem
uznaniem, że opróżniły się koła fortuny z masą
biletów, że komuś w udziale mleko-dajna krowa

przypadła, a w sali, wśród, tropikalnego goraca,
odegrano doskonałą jednoaktówkę ze śpiewami Do-
minika „Wigilja Sw. Andrzeja.“ Największą je-
dnak wesołość budził karuzel ustawiony w środku
ogrodu, kręcący się bez ustanku, wożąc kilka na-
szych znakomitości oczywiście wyciętych z tektury.
„Jechał więc na koniu kirem pokrytym, o niezmi-
ernie smutnym wyrazie pyska, ulubiony przez naszą
publiczność komik, a był tak smutny, że serce się
krajało, gdy człowiek patrzył na niego; lży wielko-
ści grochu spadały po jego rumianych policzkach,
budząc ogólne współczucie. A oto mistrzyni sztuki
kulinarnej uzbrojona w olbrzymią warząchiew
usiadła na krowę i jeżdżąc do koła, przypominała
światu całemu zasługi swoje. Dalej na krokodyla
usiadła sympatyczna powieściopisarka nasza pia-
stująca na rękach słonika, a nader przekonująco
wyglądał wirtuoz-pianista, liczący dolary; spoczy-
wał on na wagonie, na którym wypisane były na-
zwiska wszystkich większych miast amerykańskich
i europejskich, ma się rozumieć (rozumie się, pisać
się nie powinno) z wyjątkiem Warszawy“.

Mój Boże! a ja wyjechałem z syreniego grodu
i nie widziałem też naszego komika, karmicieli na-
szej z warząchwią, powieściopisarki na krokodylu
i wirtuozu zapominającego, że jest Warszawa na
bożym świecie, a nie widząc, sprawozdaniem moich
kollegów posiłkować się muszę, gwoli czyniąc kro-
nikarskiemu sumieniu swojemu.

Wspominając o tem to o owem, nie możemy po-
minąć mileczniem faktu rozstania się pani Izabelli
Smolikowskiej, przełożonej pensyi sześcioklasowej,
ze swym zakładem, którego przewodniczką będąc
od lat dwudziestu dwóch, a umiała na tem polu zmu-
dnej pracy nauczycielskiej, zyskać miłość swych
wychowanców, szacunek wykładających profesorów
i szerokiego ogółu. Obecnie, pani Smolikowska,
nie rozstaje się ze swym zakładem, ażeby po latach
długich a doniosłej swej działalności odpocząć,
przeciwnie, stanie krok naprzód, przenosząc
się na inne pole działalności pedagogicznej, al-
bowiem staje na czele wyższych kursów handlo-
wych dla kobiet. Przed paru tygodniami odbył się
uroczysty akt zamknięcia roku szkolnego, który był
jednocześnie aktem pożegnania przełożonej z wy-
chowankami i ciałem nauczycielskiem. Zebrało się
też bardzo wiele i byłych uczennic p. Smolikowskiej,
które jej zawdzięczają wykształcenie umysłu i ser-
ca. Ks. rektor Gralewski i p. Roman Pleniewicz,
żegnając przełożoną zaznaczyli w serdecznych mo-
wach jej pożyteczną działalność, na co odpowie-
działa pani przełożona, że powodzenie swojego za-
kładu zawdzięcza personelowi nauczycielskiemu,
który z godnością wypełniał zawsze przyjęte na sie-
bie obowiązki. Obecnie, w miejsce pani Smoliko-
wskiej, staje pani Paulina Hawelke—nowej przeło-
żonej życzymy powodzenia, jakim się jej poprze-
dniczka cieszyła, życzymy, by tyleż przyjaźni,
szacunku i miłości w społeczeństwie doznała.

Z dniem każdym Warszawa się wyludnia i wylu-
dnia. Kto może opuszcza jej bruki rozpalone, po-
wietrze przesiąknięte kurzem i dymem. Spieszą
ludziska do wód i w góry, by ze wzmocnionemi si-
łami na zimowe dopiero leże powrócić. Tym, któ-
rych żelazna ręka losu do miasta przykuła, zostają
teatrzyki, ogródki, kolejka wilanowska i wystawa
higieniczna. Komitet przyszedł do przekonania,
że okrom nauki potrzeba i rozrywek trochę dać,
bądź co bądź, zawsze żadnemu zabaw tłumowi. Ma-
ją więc być zaprowadzone pewne urozmaïcenia,
a nawet, jak do nas wieści doszły, pojawi się, Fa-
kir, który parotygodniowem snem w trumnie przy-
kuwać do siebie oczy widzów będzie.

Nie Fakir jednakże, lecz sama przez się wystawa,
coraz bardziej pociągająca się staje. Ci, którzy
pierwszy raz byli i przeszli wszystkie pawilony, nie
zastanawiając się prawie nad znaczeniem tego nau-
kowego popisu i, pytani o zdanie, albo mileczeli dy-
skretnie, albo coś półgębkiem mruzczeni — obecnie,
oswoiwszy się z masą przedmiotów, zrozumiałwszy
powoli cel, dla jakiego wystawione zostały, widzą,
że bardzo wiele jest rzeczy nowych, nieznanych im
zupelnie, a z rozbudzeniem się ciekawości budzi
się chęć szczegółowego zapoznania się ze zbiorami.

— Może pójdziemy do Belle-Vue lub na Patelnię?

— Byłem wczoraj—dziś... dziś chodźmy na wy-
stawę!

Pełno było na wystawie, podczas odwiedzin jej przez Jego Eminencję nuncjusza papieskiego Agliardiego. Na jego przejęcie przybyli do Warszawy dygnitarze kościelni, w rzędzie których znajdował się i biskup płocki s. p. ksiądz Michał Nowodworski. Ale nieubłagana śmierć niedozwołała dostojnikowi kościoła powrócić do swojej owczarni. Dnia 12 b. m. niespodzianie przeniósł się do wieczności, rażony atakiem sercowym.

S. p. biskup Nowodworski urodził się we Włocławku d. 27 Lipca 1831 r. Od r. 1841 był uczniem szkół kaliskich, po ukończeniu zaś 4-eh klass teologicznych wstąpił tamże do szkoły realnej, z której patent otrzymał w r. 1848.

W rok potem wstąpił do seminarium, zkał, po dwóch latach wysłano go na studia do Akademii Duchownej w Warszawie. Święcenie kapłańskie otrzymał 20 Sierpnia 1854 r. następnie stopień kandydata św. teologii i wikaryat konecki w dekanacie Nieszawskim. Po dwóch latach został bibliotekarzem akademii, następnie profesorem prawa kanonicznego. Piastując coraz wyższe godności w r. 1887 otrzymał *honoris causa* doktorat św. teologii od uniwersytetu krakowskiego i Akademii Duchownej w Petersburgu, a d. 30 1889 r. został biskupem płockim. Konsekracja odbyła się w Petersburgu 13 Maja, ingres do katedry płockiej 15 Czerwca 1890 r.

W ciągu sześciu lat swojego pasterstwa, s. p. biskup dbał o dobro dusz powierzonych sobie owieczek, odwiedzając dyecezyę, kazając i bierzmując.

Zmarły zaznaczył się i na polu literackim, z nazwiskiem Jego spotykamy się już od r. 1854. Pracował w „Pamiętniku religijno-moralnym”—przez długie lata był duszą „Przeglądu katolickiego,” gdzie poruszał nieraz kwestye ogólnie naukowe, jak np. w sprawie autorstwa *Monumentum Ostroroga*. Tamże umieścił studjum o ks. Karolu Surowieckim, słynnym polemście z końca zeszłego i na początku bieżącego wieku, przez długie lata brał także udział w redakcyi „Kroniki Rodzinnej.”

Zasługą także ks. biskupa Nowodworskiego jest rozpoczęcie w r. 1873 wydawnictwa „Encyklopedyi kościelnej” podług Wetzera i Weltego z licznymi jej dopełnieniami. Encyklopedia ta stanowi najtrwalszy pomnik z naukowych zasług uczzonego pasterza. Prócz dzieł oryginalnych przyswoił literaturze religijnej kilka prac z języków obcych. Do takich należy: „*Symbolika*” dr. Möhlera—„*Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskim*” Périna—„*Jesus Chrystus*” Veuillota—„*Pius IV*” Villefranche’a, wydał też wiele książeczek dla ludu, jako też zapoczątkował i popierał wydawnictwo 10 tomowej „*Historyi powszechnej*” Holzwartha, opracowanej przez brata, prof. Jana Nowodworskiego.

Pracowity i pożyteczny żywot przecięła nieubłagana śmierć. Niech więc odpoczywa w spokoju.

Ciężką też stratę poniosło społeczeństwo nasze w osobie dr. Ludwika Natansona. Ur. w r. 1824 w r. 1838 wstąpił do wileńskiej akademii medycy-chirurgicznej, następnie studiował w Jurgiewie (Dorpat). Jako doktor, osiadłszy w Warszawie, zyskał wielkie uznanie, jako człowiek—szacunek powszechny, jako mąż uczony—imię głośnie. Na stanowisku prezesa gminy starozakonnych pracował ewierć wieku, a niespożyte zasługi położył na polu wychowawczem. Założeniem pierwszej w kraju szkoły rzemiosł dla chłopców, pozyskał niewygasłą pamięć. Kto jak kto, a Ludwik Natanson niezwydły splół sam sobie wieniec dębowy.

??

„PRZY WALCZYKU SZOPENA.”

Czemu dziś serca nic już nie wzruszy,
Czemu mnie nużą marzenia
Czemu mi tęskno i smutno w duszy,
I dziwnie drażnią wspomnienia?
Czemu już zwiedły fantazyi kwiaty,
Co miały powab uroczy,

Gdym w ponad ziemskie sięgając światy,
Patrzył w błękitne Jej oczy?

Ona, jakby ptaszat śpiew w dal niesiony,
Co do serc głębi przenika,

Niosła mi w darze najtkliwsze tony—
Szopenowskiego walczyka.

Minął szat pierwszy—minęły lata,

Z dziewczeczki wzrosła dziewczyna,

Mysł moja zawsze ku niej ulata,

Jej zawsze krasne lśnią lica.

I zawsze razem serca nam drżały,

Pełnią harmonii młodości,

Po złotym listku z życia chwytały,

Po złotym listku miłości.

I wśród światowych nie raz uniesień,

Gdy pamięć przeszłych chwil znika,

I gdy życiowa nastala jesień,

Wciąż brzmiały dźwięki walczyka.

Wszystko minęło—dawne wspomnienie

Dzisiaj się zjawia z litości,

A rzeczywistość zimne spojrzenie

Rzuca, igrając z miłości,

Dzisiaj śpiew ptaszat z wiatrem w rozterce,

Dziś chmura słońca nie mija,

I kiedy dawniej gorzało serce,

Dziś głuchem echem odbija.

Współczucie biorę już z obcej ręki,

Do duszy smutek przenika,

I tylko czasem budzą mnie dźwięki—

Szopenowskiego walczyka.

Stefan.

Druga wystawa higieniczna W WARSZAWIE.

V.

Gimnastyka, pedagogika lecznicza (zbożenia mowy, głuchoniemota i ślepota, nieletni przestępcy).

Zbyteczna nadmieniam, że na wystawie higienicznej, u nas zwłaszcza, przede wszystkim gimnastyka i zabawy ruchowe winny znaleźć zastosowanie; tak też pojmował rzecz komitet wychowawczy. Hala gimnastyczna, którą wznosił p. F. Rycerski i oddał na pomieszczenie działu wychowawczego, mająca być własnością zawiązującego się Towarzystwa gimnastycznego, pozostanie pamiętką z wystawy i to skuteczną pamiętką, skoro da impuls szerszemu rozpowszechnieniu u nas gimnastyki. Jest to życzenie lekarzy i wszystkich ludzi, rozumiejących znaczenie ćwiczeń fizycznych, tak koniecznych dla mieszkańców wielkich miast zwłaszcza, potrzebujących przywrócenia równowagi organizmu po nadmiernej, nieraz wielce niehigienicznej pracy w różnych rzemiosłach i zawodach.

Były też wielkie zamiary co do ćwiczeń gimnastycznych w czasie samej wystawy. Wezwano wszystkich znaczniejszych gimnastów, którzy programy swoje przedstawili i prowadzić ćwiczenia przybiecali; organizacyi i formalności wprowadzenia wszystkiego w wykonanie podjął się p. Rycerski. Była nawet mowa o broszurze, mającej spopularyzować między lekarzami i publicznością znaczenie i zadanie gimnastyki. Powtórzyła się tu atoli stara historia: maluczko, a cała sprawa mogła być upaść. Tylko dzięki niezwykłej wytrwałości panny Kuczalskiej i obywatelskiemu poczuciu nestora gimnastów naszych, p. Majewskiego, we-

zwanego w ostatniej chwili, honor sprawy został ocalony. Ostatecznie tedy gimnastyka jest na wystawie. Pomijając przyrządy do wyrabiania siły, wystawione przez Graffa i wiele przyrządów gimnastyki mechano-terapeutycznej, wystawionych w pawilonie głównym przez d-ra Skowrońskiego, zastanowimy się nieco nad gimnastyką dla młodzieży, którą reprezentują, jak wyżej nadmieniono: p-a Kuczalska i p. Majewski.

P-a Kuczalska urządziła obszerną salę gimnastyki szwedzkiej,—nie skończyło się jednak na sali, przyrządach, fotografiach, dewizie: *mens sana in corpore sano* (zdrowa dusza w zdrowym ciele) i szyl-dzie kierowniczką zakładu. Wystawa ta przyniosła rzetelną korzyść publiczności, albowiem dała jej przed oczy lekcy wzorowe, codziennie prawie w różnych kompletach prowadzone; była więc gimnastyka panien starszych, dzieci od lat 10 do 14, tudzież dzieci młodszych od lat 6 do 10; kierowała niemi p-a Kuczalska lub nauczycielki jej zakładu, między którymi jest i szwedka, wykwalifikowana przez Centralny Instytut gimnastyczny w Sztokholmie. Dzięki tym lekcyom wzorowym szersza publiczność mogła zrozumieć i ocenić znaczenie gimnastyki tego systemu, dzięki tym lekcyom pogodziliśmy się nawet z gimnastyką młodszych dzieci, w czym mieliśmy niejaki wątpliwości; dzięki tym lekcyom zrozumieliśmy, że w gimnastyce szwedzkiej pedagogicznej (t. j. zdrowotnej lub wychowawczej) idzie przede wszystkim o zdrowie organizmu, o równomierne pobudzanie go i wzmacnianie. Cel osiąga się środkami prostymi bez żadnych hantli, maczug, a więc gimnastyka ta polega na ruchach wolnych, chodzeniu, bieganiu, skakaniu, przyczem szczególniejsza zwraca się uwaga na prawidłowe oddychanie w czasie ćwiczeń. Przyrządów używa się tu bardzo ograniczona liczba: prostopadłe drabiny przysięenne (ribbstol), wisząca drabina krato-wa, lina pozioma, liny pionowe, baryera ruchoma, ławeczki niskie. Rzecz prosta, że drugi dział gimnastyki szwedzkiej—t. j. gimn. leczniczej, polegającej na działaniu przeciwko miejscowemu cierpieniu, nie był przedstawiany.

Pannie Kuczalskiej należy się uznanie za umiejętne popularyzowanie gimnastyki szwedzkiej, szkoda że nie zrobiły czegoś podobnego panie freblistki; mówimy to z pewnym celem. Z okoliczności ostatniego naszego artykułu w „Bluszezu” zarzucano nam poufnie powierzchowną, szablonową znajomość Froebła, doszły nas i poboczne zarzuty; jakże żałujemy, że nawet nawskroś poglądowa,—tak wiele pouczająca zwiedzających wystawa, tutaj nie wiele nas nauczyła. Właśnie panie freblistki miały sposobność postarać się o to, aby nie tylko sprawozdawców ale i szersze koła wynieść po nad ten pogląd szablonowy. Widzieliśmy nie po raz pierwszy martwe (choć bardzo piękne) wyroby i... żywe zabawy, ale nie widzieliśmy zajęć; mówicie, że dary Froebła przedstawiają abecadło pracy ludzkiej,—nie widzieliśmy tej pracy. A przecież frebliści amerykańscy zwracają się w tym kierunku. Czyż zasadzenie dzieci choćby do kilku, najpodatniejszych ku temu, darów Froeba przedstawiało tak wielkie trudności? Nie sądzimy. Mówimy to tem śmieiej, ponieważ wiemy, że nie wszystkie wystawczynie płaciły za metr kwadratowy; brak miejsca nie stał tu więc na przeszkodzie.

Ku uzupełnieniu gimnastyki szwedzkiej służą gry i zabawy ruchowe: piłka, kregle, piłka nożna, rzucanie kółka i t. p. p.; naturalnie, że gry te latem odbywają się na wolnem powietrzu. Właśnie obok budynku gimnastycznego urządzono boisko i tam p-a Kuczalska i osoby jej pomagające (panowie i panie) kierują zabawami 2 razy tygodniowo, przyjmując wszystkie dzieci i młodzież do współudziału.

Od pewnego czasu ogłaszają gazety, że p. Majewski kieruje gimnastyką 4 razy tygodniowo na boisku; wprawdzie ustawianie przyrządów ukończone, wprawdzie widzieliśmy nawet zapoczątkowanie tych lekcyi, miejmy więc nadzieję, że i ta ważna część wystawy, lubo znaczenie dla różnych przyczyn zapóźniona, pójdzie w ruch prawidłowy. Tymczasem obowiązkiem każe nam zrobić tu ostrzeżenie dla rodziców i zanieść prośbę do Zarządu wystawy. Rodzice nie powinni puszczać dzieci, chociażby starszych, samych na wystawę, Zarząd zechce może łaskawie ustanowić dozór nad przyrządami, o co, o ile nam wiadomo, prosił już niejednokrotnie p. Maje-

wski. Gdy widzimy wyrostków, łązących po belkach górnych, co chyba żadnym programem gimnastyki nie jest objęte, strach nas przejmuje na myśl, że o wypadek nie trudno: piękną pamiątką z wystawy higienicznej byłoby... kalestwo.

Ilekróć w organizmie zachodzą zbożenia, rodzi się potrzeba gimnastyki leczniczej, specjalnie stosowanej; jeśli zaś zachodzą zbożenia moralne, rodzi się potrzeba odrębnego stosowania środków i sposobów wychowawczych: tak więc powstały odrębne sposoby, zapobiegające niedostatkowi mowy, wzroku, charakteru. Te działy zostały w części przynajmniej na wystawie przedstawione. Z działy pedagogiki leczniczej (Heilpädagogik), mamy wystawę d-ra Ołtuszewskiego, wystawę odnoszącą się do głuchoniemych i ociemniałych tudzież kolonie karne.

D-r Ołtuszewski wystawił 7 tablic oraz kilkanaście broszur swoich, dotyczących fizjologii, psychologii, rozwoju mowy oraz jej patologii. Nie możemy w pobieżnej wzmiance ocenić pracy naukowej, zadanie zresztą sprawozdawcy z wystawy polega głównie na objaśnieniu znaczenia okazów, a więc (jak w tym razie) 7 tablic, — przedstawiają one udział mózgu i narządów mownych przy akcji mowy oraz rozwój mowy u dziecka. Pierwsza tablica przedstawia mózg z wskazaniem ośrodków, służących do kojarzenia wyobrażeń i pojęć z wyrazami. Następne 4 tablice uwydatniają udział organów mownych w czasie mowy. Tablica 6 przedstawia podział spółgłosek abecadła polskiego, oparty na zasadach fizjologii. Tablica 7 odnosi się do rozwoju mowy u dziecka, co nam ułatwia wysłuchanie zbożeń i ich przyczyn. Praca ta d-ra Ołtuszewskiego może przynieść pożytek tylko przy wyczerpującym objaśnieniu i znajdzie je każdy w książeczce, w tym celu wydanej p. t. „Hygiena mowy,“ polecamy ją żywo uwadze ogólnej. Mamy nadzieję, że ogół nasz mniej będzie lekceważył niż dotąd różne zbożenia mowy jak jąkanie, bełkotanie z wadliwym wymawianiem, mowa nośowa, niemota, którą odróżnić trzeba od głuchonioty. Nie możemy powstrzymać się od przytoczenia paru rad praktycznych, które na str. 50 rzeczowej broszury znaleźliśmy:

Dzieci winny się nauczyć najpierw dobrze mówić i rozumieć mowę, a potem dopiero czytać, — samogłoski winny być dobrze uwydatniane w czytaniu, — nauczyciel powinien mówić dobrze t. j. wyraźnie i powoli. Należy przestrzegać, aby nie naśladowano jąkających się; rodzice powinni się usilnie starać o wyleczenie dziecka z wady jąkania w okresie przedszkolnym. Nie należy przeciążać dzieci zbytnią pracą umysłową, wpływającą na osłabienie i rozdrażnienie systemu nerwowego. Zaleca się rozwijanie narządów oddechu, głosu i artykulacji za pomocą gimnastyki, odpowiedniego czytania, recytowania, deklamacji.

Niezwykły postęp sprawy ociemniałych i opieki nad nimi, poważny rozwój metod kształcenia głuchoniemych, a co więcej sprawa leczenia głuchonioty i głuchoty, poruszona świeżo przez profesora wiedeńskiego Urbantschitscha (Ueber Höreübungen...) nie mogły ująć uwagi komitetu Wychowawczego wystawy; zajęto się zatem zgromadzeniem odpowiednich materiałów, (przez pośrednictwo księgarńi Wizbeka), ku czemu D-r Szumlański nie szczędził kosztów i oto powstała wystawa, objęta 244 i 251 numerami katalogu. Zebrano bogatą literaturę przedmiotu w różnych językach, druki wypukłe dla ociemniałych tudzież przyrządy do pisania dla tych ostatnich systemu Hebolda i Braille'a. Na szczególną uwagę zasługują przyrządy do pisania ołówkiem dla osób, cierpiących na oczy lub ociemniałych z wiekiem; polecamy szczególnej uwadze lekarzy — okulistów i opiekunów przytułków starców przyrząd z nakładanymi deseczkami.

Kończąc z „pedagogiką leczniczą,“ wspominamy jeszcze o wystawie Osad rolnych Studzienca tudzież nowopowstającego oddziału dla kobiet w Puszczy. Okazów znaleźliśmy nierównie mniej, niż na przeszłej wystawie higienicznej. Ponieważ jubileusz zakładu studzienieckiego, w tym roku przypadający, głoszą dość szeroko po pismach, nie będziemy przeto powtarzać szczegółów, które publiczność ma w świeżej pamięci.

Opieka zbiorowa (Kolonie letnie, Towarzystwo Dobroczynności) zakłady naukowe i pomiary antropometryczne.

Obok najgłośniejszej części wystawy higienicznej w dziale wychowawczym t. j. gimnastyki postawić musimy ze względu na doniosłość kolonii letnie; szybki ich rozwój, wielka doraźna korzyść dla wzrostu i zdrowia biednej ludności, tej właśnie, której opieka Hygei najpotrzebniejsza, nadaje pierwszorzędną uwagę ich znaczeniu i zadaniu. Jakże żywo i czynnie Warszawa zajmuje się tą sprawą! Sądzieliśmy, że Zarząd kolonii zainicjuje się na wystawie, choćby dla zaznaczenia higienicznego par excellence charakteru tej gałęzi filantropii. Tymczasem, gdyby nie usiłowania osób pojedynczych, nie byłoby na wystawie śladu kolonii letnich. Tymi osobami są: P.P. Bersohnowie i D-r Anna Tomaszewicz-Dobrska.

Jan i Cecylia Bersohnowie wystawili wdzięczny modelik, utrzymywanej przez siebie i umiłowanej widocznie kolonii dla słabowitych dzieci ubogich; składa się ona z dwóch domów parterowych, połączonych galerią. Zakład ten istnieje od r. 1890 w Lesznie (pow. Błotki) przyjmując po 160 dzieci w 3 sezonach, — dotąd więc korzystało z niego około 1,000 dzieci; koszt utrzymania wynosi około 3,000 rs. rocznie. Obok modelu znajdujemy ubiór dzieci na manekinach, a także drukowane objaśnienie, z którego dowiadujemy się o trybie życia tych małych letnich gości, a także o dobrych warunkach sanitarnych zakładu; dość przytoczyć, że w sypialniach wypada 20 metrów kubicznych na osobę, jest to dwa razy więcej, niż potrzeba, tem więcej na letnią porę, gdy dostęp świeżego powietrza jest bardzo ułatwiony.

Dziwne losy spotykają 10 wielkich tablic pomiarów ciała dzieci, wyjeżdżających na letnie kolonie, przygotowanych z nadzwyczajną drobiazgowością przez d-r Annę Tomaszewicz-Doborską. Tablice te najprzód poniewierały się po kątach nieuporządkowanej jeszcze chaty wiejskiej, następnie dostały się na galerię pawilonu gimnastycznego, gdzie może wchodzić ograniczona tylko liczba osób; są więc jakby ukryte przed publicznością. Gdybyż choć napis dać na dole dla skierowania osób zainteresowanych; — a warto! Tylko specjalista może właściwie naukową tę pracę ocenić. Są to pomiary, wykonane przed wyjazdem i po przyjeździe na kilku setkach dzieci w 5 grupach, mniej więcej po setce, od lat 8 do 9, od 9 do 10, od 10 do 11, od 11 do 12 i od 12 do 13. U dołu namalowano figurki dzieci, na których odznacza się przyrost dziecka po powrocie z kolonii. Zdziwił nas nadzwyczajny przyrost chłopców najmłodszych t. j. pomiędzy 8 a 9 rokiem.

Wystawa higieniczna zrobiła bardzo wiele dla dzieci: przygotowała im różne pokoje, zabawki, salę gimnastyczną, boisko, daje im nawet słodycze... Wszystko to dla dzieci zamożniejszych, czystych, ładnie ubranych... korzyść stąd niezbyt wielka, te dzieci i bez tego żyją w znośnych warunkach zdrowotnych. Drzwi Hygei całkiem zamknięte dla tysięcy dzieci biednych, przez większe pół roku w zatęchłych mieszkaniach trzymanych. Kolonie letnie wiedzą o nich, niechby im choć cząsteczkę zdrowia udzieliły, wprowadzając pod swym płaszcem choć raz na tydzień na boisko gimnastyczne, gdzie przewodnictwo zabaw ruchowych uorganizowane. Dobry przykład dało Towarzystwo Dobroczynności, wprowadzając tu dzieci z przytułków i ochron. Nawoływaliśmy już do tego — bezskutecznie. Możeby komitet higieny ludowej, który najlepiej rozumiał, od czego się zaczyna zadanie higieny, wziął te dzieci ludu warszawskiego w opiekę. Nie słodyczy, ale światła, powietrza, ruchu, wrażeń pogodnych, wspomnień jasnych biednym naszym dzieciom potrzeba!

A teraz stajemy przed poważną bardzo instytucją, od r. 1815 istniejącą, szeroko rozgałęzioną, która wystąpiła z wystawą tak bogatą, jak nigdy dotąd. Zdaniem naszym należy się wystawie Towarzystwa Dobroczynności oddzielną artykuł sprawozdawczy; tymczasem poprzestać musimy na krótkich słowach.

Towarzystwo, posiadając obecnie główny zakład starców i kalek w swej siedzibie i 3 dodatkowe, przez

czas swego trwania t. j. od r. 1815 udzieliło przytułku 26,500 osobom.

Posiada zakłady chłopców i dziewcząt, mieszcząc 379 sierot, — posiada 34 ochrony z 5,700 dziećmi, posiada 8 szwalni, w których uczy 1,000 posiada 12 kas groszowych i różne kasy pożyczkowe, posiada 23 czytelnie bezpłatne. Obrót roczny Towarzystwa wynosi 220,000 rs.

Sposób, w jaki Towarzystwo wystąpiło na wystawie, ujawnienie rachunków, okazanie pracy i stanu wychowawczego jej zakładów, każą nam wnosić, że wielka ta instytucja jest w przededniu ważnych reform, czemu tylko z serca przyklaskać można.

Krótszemi jeszcze słowami ograniczyć się musimy, mówiąc o zakładach naukowych, jest ich 5; trzy pensje żeńskie, dwie szkoły zawodowe, a mianowicie: szkoła rzemiosł p. A. Korycińskiej i szkoła fotografii p. Borkowskiej. Lwia część zasługi należy się p. Leonii Rudzkiej za klasę wzorową i za zbiór pomocy naukowych; wierzyć się nie chce, aby zakład prywatny posiadał takie bogate, kosztowne zbiory, odpowiadające najnowszym, najwybredniejszym nawet wymaganiom. P. Porazińska przedstawiła kilka wielkich wyraźnych map — tudzież plan lokalu swego zakładu, ilustrowany 4-ma dużymi fotografiami: klasy, sypialni, sali rysunkowej, kaplicy. Stosunki przestrzenne lokalu, a przedewszystkiem sypialni, nie pozostawiają nic do życzenia. Wystawa ta bardzo jest na czasie i na miejscu, albowiem, nieraz słyszeć się dają nieprzychylnie zdania lekarzy o sypialniach naszych zakładów żeńskich. O wystawie przyrządów fizycznych p. Łapińskiej wspominaliśmy powyżej, obecnie przybyła szafa z ładnymi robotami ręcznymi uczennic. Widzimy, że 3 te zakłady dopełniają się nawzajem, dając zwiedzającemu pojęcie o współczesnych warunkach zakładu naukowego dla kobiet.

W dziale wychowawczym mieszczą się jeszcze prace naukowe d-rów Kornilowicza i Kosmowskiego, przedstawione w tablicach graficznych. Mechanizm woli Kornilowicza pominąć tu musimy, jako nie nadający się do pobieżnego sprawozdania; natomiast zatrzymać się musimy nieco nad tablicami pomiarów antropometrycznych dzieci, jako nad pracą pierwszą w swoim rodzaju i uderzającą rezultatami, do jakich dr. Kosmowski w mozolnej swej pracy doszedł.

Badania swoje nad rozwojem fizycznym dzieci dr. Kosmowski uwydatnił w XI tablicach: Tablica I przedstawia sposób powiększania się wagi ciała u dzieci w pierwszym roku życia; z niej widzimy, że waga dziecka podwaja się w piątym miesiącu życia, a potraja się w końcu pierwszego roku. Przy karmieniu piersią rozwój ciała odbywa się prawidłowo, przeciwnie, przy sztucznym karmieniu zachodzą zmiany niekorzystne dla organizmu dziecka. Tablica II-a wykazuje wahanie się wagi ciała w ciągu doby u niemowląt, dzieci i młodzieży. Na tablicy II-b widzimy, że dzieci najwięcej rosną na długość w miesiącach wiosennych, najmniej zaś — w jesiennych; waga zaś powiększa się znacznie prędzej w miesiącach jesiennych i zimowych, niż wiosennych i letnich.

Tablica III przedstawia rzecz zupełnie nową u nas, jest bowiem sumą badań nad 4,000 młodzieży szkolnej co do wzrostu i wagi chłopców i dziewczyn od 7 do 20 roku życia. Rezultat tych badań zgadza się z odnoszonymi rezultatami zagranicą. Dziewczynki od 8 do 15 roku życia posuwają się we wzroście i wadze znacznie prędzej od chłopców, natomiast ci ostatni rozwijają się nierównie więcej po 15 roku życia.

Na tablicy IV okazano rozwój fizyczny 3,000 dzieci biednych, wyjeżdżających na kolonie letnie, jest on w porównaniu z dziećmi zamożnymi bardzo upośledzony. Toż samo potwierdza tablica V co do wzrostu i wagi dzieci.

Rezultaty tablicy VI i VII są nader ciekawe i pocieszające: nasza młodzież nie ustępuje w rozwoju fizycznym młodzieży krajów obcych, a nawet przewyższa ją. Odnosi się to zarówno do chłopców jak i do dziewczyn. Tak więc obawy o zwyrodnienie nie są uzasadnione.

Mowa tu o młodzieży, uczęszczającej do szkół prywatnych, a więc względnie najzamożniejszej. Pocieszający ten stosunek przedstawia się zupełnie przeciwnie na tablicy VIII i IX w porównaniu dzieci naszego proletariatu z zagranicą zwłaszcza

z dziećmi szwedzkimi lub amerykańskimi. Fakt ten potwierdza, że warunki higieniczne klas niższych są u nas w opłakanym stanie.

Tablica X pokazuje smutny fakt, że zbrocenia wrozkowe u badanej w liczbie 4,000 młodzieży są u nas dwa razy większe niż np. w Kopenhadze. Przypisać to należy wadliwemu oświeceniu klas, pisanu po nocach, lichym drukom i t. p.

Ostatnia tablica XI pokazuje nieznaczny procent (większy u dziewcząt, niż u chłopców) skrzywienia kręgosłupa w porównaniu z taką młodzieżą w Kopenhadze. Przypisać to należy większej sile fizycznej, a więc i większej odporności naszej młodzieży.

Wł. Nowicki.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Młoda panna ubrana elegancko, ze zbyt wyrażnym uwzględnieniem wszelkich dodatków któreby mogły urodę jej podwyższyć, zbliżyła się do Janiny.

— Koleżanko — wyrzekła poufale, opierając dłoń na jej ramieniu — co mówicie na dowodzenia Huschkego?

Janina usunęła się zżęcznie.

Piękna panna Eliza znaną jej była z rozmaitych, ekscentrycznych wybryków. Spotykała ją nieraz na ulicach Paryża spacerującą w towarzystwie studentów, roztrzęsioną, zbyt swobodną...

Dziwiła się nawet, że Malska przyjmuje ją u siebie.

— Nie wiem, czego dowodzi Huschke — odparła po chwili. — Nie zajmuję się anatomią.

— Al! Zapomniałam, że to wy na historyczno-literackim wydziale jesteście... — rzekła niezrażona chłodnym obejściem Eliza.

Z niedbałym wdziękiem rzuciła się na ottomanę.

— Huschke to barbarzyńca! — odezwała się, kłopotując spojrzeniem usuwającego się od niej Darskiego. — Twierdzi on, że czaszka męzka posiada stosunkowo obszerniejszy krąg potyliczny niż kobieca; że jama kręgu czołowego u mężczyzny, przecięciowo o 1,15 procent większą jest, niżeli u kobiety. Absurda, wymysły! Wszyscy oni dążą ku jednemu: zepchnąć kobietę jak najniżej pod każdym względem, aby uczynić ją bezwłasnowolną, skrepowaną, wydziedziczoną...

Darski się uśmiechnął.

— Pani się lubuje w określeniach — rzekł drwiąco.

Odrzuciła z fanfaronadą złote loki spadające jej na czoło. Zasłaniały nieledwie oczy czarne, matowe, istotnie piękne.

— Oburzenie wylewa się z piersi mej przepełnionej po brzegi — odparła z przesadą. — Wskutek dowodzeń Huschkego umieszczone zostałyśmy pośrodku, między mężczyzną a dzieckiem. Dzieckiem! Słyszane rzeczy!

Przedmiot rozmowy poruszył obojętną dotąd Natalię Białecką.

— Nie pojmuję, czemu to panią tak dziwi... — odezwała się spokojnie. — Pomiedzy jedną płcią a drugą musi zachodzić różnica, wpływająca tak z fizycznego jak i z moralnego ustroju. Nie tylko anatom Huschke, lecz każdy zgodzić się z tem musi.

— Co tam ich badania, tych wszystkich anatomów, fizyologów, patologów — zawołała panna Eliza. — Dowodzą tego, czego chcą sami...

— Wiecie, koleżanko, wszystkiemu winna emulacja! Pojmujecie? — wtrąciła jedna ze studentek. — Boją się nas! Historia wszystkich epok i narodów dostarcza nam tysiące przykładów, wpływu kobiet

na umysły męzkie najznakomitsze. To obala dowodzenia anatomą Huschkego i wielu innych.

— Gwałt i niesprawiedliwość w stosunku do kobiet panują sobie swobodnie setki całe stuleci, popierane prawem *moćniejszego* — wołała rozentuzyznowana panna Eliza.

— Wszak panie mają już teraz pole otwarte... — zauważył Darski.

— Tak, to prawda! W drodze wysokiej łaski dopuszczono nas do zdobywania wiedzy, ale nie otwarto nam wszędzie pola do użytkowania tejże — dowodziła piskliwym dyskantem jedna z mal-kontentek.

Hałas się wznagał.

— Proszę o głos! — woła Malska.

— Uciszcie się panie! Prosimy.

— Koleżanko, Malska ma jeszcze coś do powiedzenia. Słuchajcie! — mówi rozwódka, składając dłoń.

Panna Eliza wzruszyła ramionami.

— I my także mamy coś do powiedzenia. I my także mamy głos, swoje zapatrywania!

Malska przyłożyła dłoń do czoła. Błady poeta podsunął się z flakodem orzeźwiającego płynu.

Darski stłumił ziewnięcie.

Nieczuły na zaczepki kokietującej go Elizy, sięgał oczyma Janinę.

Stała ona teraz wśród klombu kwitnących roślin, pojąc się delikatną wonią magnolii, obca zda się tej wrzawie, co w około niej huczała jak potok wezbrany.

Twarz miała smutną, duszę roztesknioną. Ach, gdyby to ona była już wśród swoich. Teraz kiedy udało jej się wniknąć głębiej w otwartą skarbnicę wiedzy, zaczęła pojmywać, jakiej frozkozy nieporównanej dostarczyć może nauka. Nowe światy otwierała przed nią, a przecież cichej słodyczy domowego ogniska, pieszczot matczynych, pogawędki z Amelką pożądała tak gwałtownie, że wyraz jej pięknych rysów zmieniony nagle, uderzył Darskiego.

— Pani pewno zmęczona? — pyta, zatrzymując się przed nią.

Janina spojrzała na niego z ledwo ukrywaną niechęcią.

Wciąż znowu on! Szorstki, niegrzeczny. Odbiegła ją już ochoła poznania go bliżej.

— Przywykłam do gwaru — odparła, nie okazując bynajmniej usposobienia do rozmowy.

Darski mimo to nie ustępował. Zaciekawiała go, podniecała oporem, niechęcią wręcz okazywaną.

— Hm! — myślał. — Diderot miał słusność; w taki czy owaki sposób, kobieta zawsze będzie zalotnicą. Brzydka, ładna, młoda, stara... Każda dąży do podbicia męczyzny. Ot i ta! Z początku okazywała dla mnie jakąś skłonność sympatyczną, bo widziała, że mnie zdobyć trudno teraz gdy ja; zaczynam się nią interesować, chowa się jak ślimak w skorupę.

Miętosząc w palcach niecierpliwie listki magnolii, pochylił się ku Janinie.

— Pani wybrała zawód filozoficzny? Wolnoż spytać, czy pociągnęła panią nauka, czy też prąd tegoczesny... zadowolenie pewnej ambicji?... Kobiety terazniejsze lubią ekscentryczność...

Janina spojrzała na niego wyniosło.

— Przedewszystkiem zdobycie spokojnego kawałka chleba dla siebie i rodziny — odparła dumnie. — Czy ciekawość pańska zaspokojała?

— Tak. Wszakże ton odpowiedzi udzielonej mi łaskawie, zmusza mnie do pewnego wyjaśnienia. Od pierwszej chwili poznania obudziłaś pani ciekawość moją. Dziwnie pani odbija od otoczenia tego... — dodał, wskazując ręką rozsypane po salonie grupy feministek.

Donośnie brzmiały głos Malskiej pełnym dźwiękiem zalał salę.

Darski milejąc, zwrócił wzrok ku estradzie i słuchał.

— Czy można wymagać od kobiety — mówiła ona, — aby błąd w wyborze małżonka popełniony dźwigać miała jak niewolnik łańcuch swój do końca życia?

— Jeżeli są dzieci... — wtrąciła poważna Białecką.

— Dzieci nie mają prawa wymagać takich ofiar — zawołała z ogniem rozwódka. — Dzieci znienawidzonego człowieka!

— Biedne kozły ofiarne! — szepnęła smutno Janina.

Darski popatrzył na nią badawczo.

— Pani uznaje, że w związku małżeńskim przedewszystkiem interes dzieci trzeba mieć na celu? — spytał.

— Tak panie! — odparła z prostotą. — Juliusz Simon twierdzi, że nie zastąpi dziecku ojca i matki i ja najzupełniej się z tem zgadzam. Zbyt często niestety, zdarzają się pomyłki w wyborze. Zacięśniony krąg pojęć kobiecych, częstokroć młodość i niedoświadczenie, nie pozwalają rozumnie wybrać; lecz wtedy następstwa powinny być znoszone z rezygnacją i zupełnem oddaniem się wypełnieniu obowiązku macierzyństwa.

— To niewolnicze poniżenie kobiety! — zaoponowała z oburzeniem rozwódka.

— Więcej mamy znosić upokorzenie, tyranie drugiej strony, wyrzec się miłości, swobody, spokoju dla zadosyć uczynienia obowiązkom matki? Wszakże i tak matka zabierając dzieci, czy przyznane prawnie, czy za wspólną zgodą małżonków, podwójny ciężar bierze na siebie.

— Poświęcenie chybione! — dorzuca stanowczo Janina. — Następstwa rozuranego związku na całe życie tych biedactw smutny cień rzucają.

Darski słuchał uważnie.

We wzroku jego malowało się żywe zajęcie, podziw i ciepłe jakieś uczucie, które rozgrzewało mu piersi.

Młoda dziewczyna broniąca jednej z najżywniejszych kwestyj z całą prostotą czystego serca, wydała mu się idealnie piękną i nowym zjawiskiem. Przebiegł myślą panny które spotykał dotąd w towarzystwach.

— Te postrojone, flirtujące lalki spuszczałyby niewinnie oczęta i rumieniły się w obec podobnego tematu rozmowy, ale w danym wypadku nie zawałyby się porzucić swoich piskląt przy wystygnięciu, domowem ognisku — myślał, uśmiechając się ironicznie.

A tymczasem do rozwódki broniącej swej sprawy zaciekle, przyłączyły się i inne panie.

— Więcej zamiast bronić naruszanych ciągle przez mężczyzn praw kobiety, pani występujesz przeciwko, nim? Więcej męzowi wolno grać w karty, zdradzać żonę, skazywać ją na nędzę, poniewierać, a ona w obec tego otrząsnąć się nie może? — wołały jedna przez drugą, zaciekrzewione, rozgorączkowane.

— Obowiązki matki i poszanowanie życia rodzinnego wkładają na nią te kolące lecz konieczne pęta — broniła się odważnie Janina. — Kobieta pozabawiona macierzyństwa ma drogę łatwiejszą. Zdając sama przed sobą tylko rachunek, może odejść, gdy tyrania męża zmusi ją do tego a straci nadzieję uratowania go.

— Ależ pani jesteście zacofana, krańcowo, szkaradnie zacofana — krzyczała panna Eliza, jak lew grzywą potrząsając złocistymi kędziorami. — Pani nie chcesz uznać praw naszych, obyczajowych, moralnych, materialnych... Dlaczego my mamy wypełniać swoje obowiązki, skoro druga strona nie poczuwa się do tego?

Janina uczuła się zmęczoną.

— Darujcie panie, ale niespodziewałam się, aby małe słówko wywołało taką burzliwą dysputę — rzekła. — Dążenie do wysokowej emancypacji nie trafi nigdy do mego przekonania, jakkolwiek uznaję, że chcąc wypełnić całość obywatelskich obowiązków, potrzeba być obdarzoną pełnią praw obywatelskich.

Usunęła się zwo z koła rozmawiających i dotknawszy zlekka ramienia zadumanej Natalii szepnęła:

— Pójdźmy już! Obiecałam wujence wcześniej powrócić.

Wyniosły się po angielsku, bez pożegnania.

Fala wzbudzonych głosów płynęła za nimi przez szereg salonów, słyszały ją jeszcze przy budce odzwanego, szumiała im w uszach wraz z turkotem powozu odwożącego ich do domu fiakra.

Przy wysiadaniu najniespodziewaniej podał im rękę Darski.

Domysliwszy się zamiaru Janiny, wysunął się cichutko i w pewnem oddaleniu jechał za nimi.

— Spokojnej nocy! — wyrzekł tylko, ściskając delikatnie rękę Janiny i usunął się tak szybko, że zdumione jego widokiem panny, nie zdążyły mu nawet podziękować.

Janina zdejmowała kapelusz bardzo powoli, chcąc opanować zmieszanie i ukryć rumieniec, który całą jej twarz opłynął.

— Dawno znasz Darskiego?—pytała Natalia.

— Spotkałam go kilkakrotnie u Malskiej...—odparła.

— Sympatyczny—rzuciła krótko Natalia podejmując z etażerki książkę. „*Physique sociale*“ Queleto'a pochłonięła całą jej uwagę.

Janina czuła się mocno rozstrojoną. Zwykły to był wynik tygodniowych rozpraw u pani Malskiej.

Umysł jej zbyt często jeszcze błąkał się w abstrakcjach a nie było przy jej boku opiekuńczego ducha matki, brakło zdrowego, trzeźwego poglądu Amelki, by kwestyję jakąś postawić jasno, treściwie.

Dzisiaj do rozstrojenia przyczynił się i Darski.

Gniewała się na siebie samą, że zanadto myśl jej zaprzęta.

Szorstki, gładki, czuły, zimny, wszak to dla niej powinno być wszystko jedno.

— Irytuje mnie sposób jego traktowania kobiet i to jedyne uczucie jakie we mnie budzi, — powiedziała sobie nareszcie, zabierając się do pracy.

Ani przypuszczała, że poważny, chłodny Darski zajmował ją więcej, niżeli chciała. Coś w spojrzeniu jego, w słowach wypowiedzianych z siłą niezbitego przekonania, przypominało jej Dembińskiego.

Nazajutrz w południe zjawił się z wizytą Darski.

Janina korzystając z dnia świątecznego, grała na cztery ręce z córką nauczycielki, mieszkającej na czwartym piętrze w tej samej kamienicy. Biedna matka oddana dzień cały nauczaniu dzieci cudzych, dla swojego nie miała czasu.

— Chciałam kształcić Matyldę na nauczycielkę muzyki i posyłać do konserwatorium, a nie mogę przygotować jej, będąc ciągle po za domem—skarżyła się Janinie i dobre dziewczę trud ten podjęło ochotnie.

Uczyła także dwie dziewczynki odzwiernego czytać, pisać i rachować, córeczkę woźnego z teatryku i inne.

Cały światek dziecięcy zamieszkujący suteryny i poddasza kilkopiętrowej kamienicy, piękną *madoiselle* znał i kochał czule.

I dzisiaj przy stoliku w skromnej bawialni Janiny dziewczęta przepisywały wypracowania.

Darski zdumiony tym widokiem, długą chwilę zatrzymał się we drzwiach.

Zręczna postać Janiny i całe otoczenie uwieźliło wzrok jego i sparaliżowało kroki.

— Widzę, że zjawiłem się nie w porę, — rzekł, gdy go wreszcie spostrzegła Janina. — Pani tak zajęta... Nie przypuszczałam...

— To nie!—odparła grzecznie, zmieszana nieco niespodziewaniem jego przybyciem. — Wujostwo zrobili dziś małą wycieczkę za miasto. Oczekując z upragnieniem listów od rodziny, nie chciałam pozbawiać się przyjemności otrzymania ich wcześniej. Zostałam w domu.

Uprzejmym ruchem wskazała mu krzesło. Wprowadziła dziewczęta do drugiego pokoju i wróciła do gościa.

Darski nie mógł oczu od niej oderwać.

Obfite blaski południowego słońca zalewały skromny salonik.

Stojąca przed nim dziewczyna w pełni światłem tem oblana, z warkoczem puszczonej swobodnie, w sukni jasnej i białym fartusku, wydała mu się tak niepodobną do tej dumnej, poważnej panny którą w salonach Malskiej spotykał.

Nie mógł powstrzymać cisnącej mu się na usta uwagi.

— Widok pani przeniósł mnie żywcem do białego dworku, w wienku lip wonnych, grusz i jabłoni rzuconego nad brzegiem strumienia gdzieś na skraju naszych borów szumiących...—odezwał się głosem, w którym dawne szorstkie dźwięki złagodziła tkliwość. — Więc to tak wyglądają studentki u siebie? Poważne studia pozwalają pani zajmować się bakalarstwem?

— Jak pan widzi... — uśmiechnęła się wesoło. — Pobudka samolubna. Lubię dzieci i praca broni od tęsknoty.

— Czy przynajmniej wyrzeczenie się przejażdżki, przyniosło oczekiwaną przyjemność?

— O tak!—odparła rozpromieniona. — Otrzymałam drogie listy. Siostra przysłała mi kilka zasus-

zonych kwiatów z naszego ogrodu. Miałam chwilę rozkosznego złudzenia.

— Pani tęskni?

— Bardzo. Kalejdoskopowe życie Paryża nie pociąga mnie weale. Gdyby nie Sorbona, uciekłabym!

— Wierzę.

Jakżeby mógł nie wierzyć, patrząc w te głębokie, jaśniejące uczuciem oczy.

Rozmowa potoczyła się łatwo, przyjemnie.

Janina po otrzymaniu listów od rodziny czuła się zawsze taka wesoła, szczęśliwa!

W dzieciństwie niemal rozrzuwaniu całowała papier, odczytywała drogie pismo po niezliczone razy.

Gdyby środki materyalne pozwalały na jakiegokolwiek wybryki, w ciągu tych dwóch lat spędzonych w Paryżu, byłaby raz chociaż pojechała do Zarzeczka. Serce musiało jednak zamilknąć, krępowane rozumem.

— Mateczka donosi, — odezwała się rozmarzona, — że i u nas jesień prześliczna w tym roku. Tak plastycznie opisuje jak wyglądają pola, łąki, ogrody... Wydaje mi się, jak gdybym tam była...

— Panie mieszkają na wsi?

— Tak. Po śmierci ojca mama zmuszoną była sprzedać ziemię, wyłączając jedynie pałac i park prześliczny. Siostra moja założyła tam zakład wychowawczy dla panien, — opowiadała uprzejmie — zapominając o tem, że nie dalej jak wczora odwracała się od Darskiego niechętnie i że to ten sam szorstki człowiek słucha jej teraz z takim skupieniem, jak gdyby rozwiązywała głęboki jakiś dla ludzkości problemat.

— Przypuszczałam, że zastanę panią zmęczoną, zdenerwowaną—rzekł. — Pani Malska powinna zaprowadzić pewien rygor w swoich salonach. Za wiele pała, hałasują... W ogóle rzecz biorąc, zbyt wiele panuje tam swobody. Wszak prawda?

Delikatny rumieniec oblał twarz Janiny.

Aczkolwiek słuszną, uwaga ta z pewnych względów przykra jej była.

— Wczoraj jeszcze miałem przyjemność zaznaczyć, jak odmienne stanowisko zajmuje pani w obec swoich koleżanek — ciągnął dalej, postrzegłszy to Darski.

Nie pozwoliła mu dokończyć. Czuła się w nieprzyjemny sposób dotknięta. Oczywiście dziwiło go, że się tam znajdowała.

— I ja uczyniłam pewne spostrzeżenie, — odezwała się, patrząc na niego dumnie.

— Jakież to spostrzeżenie?

— Że pan jesteście zaśniedziałym konserwatystą — odparła. — Z fizyognomii pańskiej wyczytałam wczoraj, że kobiety chcące wywalczyć sobie jakieś ustępstwa, skazałyby co najmniej na gilotynę. Jak wszyscy zresztą mężczyźni.

Darski się uśmiechnął.

— Myli się pani. My bronimy tylko naszych ognisk domowych, które wygasną niewątpliwie, gdy kobiety rzucą się w wir zajęć i obowiązków będących dotąd naszym udziałem. Wszak pani tak dzielnie broniłaś wczoraj opuszczonych dzieci; więc zgodzić się musisz i na to, że z chwilą przewrotu którego się panie tak domagacie i stosunek macierzyństwa musi uleść pewnym, niekorzystnym zmianom.

— Właśnie dlatego, że na kobiecie spoczywa zbyt wiele doniosłych obowiązków, rozszerzenie jej praw w pewnym zakresie, jest niekiedy żelazną koniecznością — zauważyła Janina. — Na szczęście wszechnicie wiedzy już przed nami otwarte. Zaczernawszy nieco światła, odpowiemy godniej stanowisku i godności niewiasty.

Darski patrzył na nią ze wzrastającym zajęciem.

— Czerpać w skarbnicy wiedzy nikt wam nie broni, łaskawe panie, — rzekł uprzejmie. — Byleście tylko w pojęciach swych i czynach były więcej logiczne. To com słyszał wczoraj, przejęło mnie wstrętem. Paradoxy, absurdy, jeśli pani pozwoli.

Zerwał się z krzesła i począł przebiegać pokój.

Wnet się jednak pomiarkował.

— Pani wybacz! — usprawiedliwiał się pokornie, stając przed Janiną. — Mam taki szorstki, wybuchowy charakter.

Uśmiechnęła się życzliwie.

— Ma pan zupełną słusność oburzać się — szepnęła.

— Czy tak? A więc ośmielony, radbym jeszcze o coś zapytać?

Skinęła głową potakująco.

— Niech mi pani powie, czy kobieta może spełniać podwójne obowiązki odrazu? Czy można wymagać od matki zasiadającej na katedrze lub w jakimkolwiek biurze, aby jednocześnie pilnowała dzieci pozostałych w domu? Wszak właściwą wychowawczynią będzie wówczas bona, piastunka lub w najlepszym razie guwernantka. Przyzna pani, że jedynie w nader rzadkich wyjątkach płatan ta opieka okazuje się pożyteczną i wystarczającą.

Mówiąc to, patrzył na Janinę badawczo, śledząc grę wyrazistych jej rysów. Jakżeby rad zapuścić sondę w głębię tej duszy dziewczęcej!

„Nie chcę gąski, ale strzeż mnie Boże od emancypantki“ — powtarzał sobie zawsze. Tymczasem spotkał oto młodą pannę ze wszystkimi pozorami emancypantki, a przecież skromną i rozsądną, nie dbającą o zimny blask sławy, lecz gorącym sercem obejmującą potrzeby tych drobnych, od losu upośledzonych istotek, czytających teraz głośno w sąsiednim pokoju swoje lekye.

Odwieczne tradycje i przesady którym dotąd hołdował, milknąć zaczęły zwolna.

Janina słuchała go z zajęciem.

— Niepodobna się nie zgodzić z poglądami pańskimi, — odpowiedziała szczerze. — Cały ten ruch emancypacyjny powinien być skierowany ku temu, aby wszystko odpowiadało wymaganiom rodziny w najszerszym pojęciu tego znaczeniu.

Darski słuchał rozpromieniony.

— Dziękuję pani! — szepnął i nim się spostrzegła, przyłgął ustami do jej ręki.

Fala krwi gorącej uderzyła na twarz Janiny. Cofnęła rękę i powstała.

Darski zerwał się przełknięty.

— Pani wybacz... Nie umiem i nie nawykłem krępować się formami i formułkami... O kobietach wyrobiłem sobie pewne pojęcie i — albo je szanuję, albo niemi pogardzam. W pierwszym wypadku życieby dla nich gotów oddać.

Taki był pomieszany, zalekany, tyle szczeroci brzmiało w jego głosie, że Janina rozechmurzyła się wreszcie i uśmiechnęła.

Darski zły na siebie pochwyił kapelusz.

— Pogwałciłem w okropny sposób regulamin przyjętych co do pierwszej wizyty przepisów — rzekł. — Siedziałem więcej niż godzinę. Czy pani mi to wybaczy?

— Sprobuje... — uśmiechnęła się żartobliwie.

— Ale pani pozwoli odwiedzić się niekiedy? — pytał z prośbą.

Zawahała się. Ona sama oczywiście nie przyjmowała dotąd ani kolegów, ani mężczyzn w ogóle. Chybaby wujostwo...

— Mamy bardzo szczupłe kółko znajomych, — wykrztusiła wreszcie zmieszana. — W każdym razie, jeśli pan zechce odwiedzić wujostwo, niewątpliwie będą radzi. Szczególniej wujaszek. Trudno mu jakoś na paryżkim bruku się przyswoić.

Jakkolwiek forma zaproszenia brzmiała dość sucho, Darski nie zważał na to.

— Przyjdę, chociażbym miał zasłużyć na miano natrętnego intruza — rzekł wesoło. — Na obczyźnie, mniej ściśle przestrzegają się konwenanse. Żegnaj pani!

Uściskawszy dłoń jej przyjacielsko, wyszedł.

Janina przyglądała mu się, gdy przechodził ulicę górując wzrostem nad innymi.

— Natalia miała słusność... — szepnęła. — Sympatyczny jest, tylko mu brak nieco ogłady towarzyskiej.

Zarumieniła się i mocno z siebie niezadowolona, zawołała dzieci do lekye.

Pocałunek Darskiego palił jej rękę.

A on tymczasem potraçał bezwiednie przechodniów na bulwarze, prawie nie wiedząc gdzie jest i co się w koło niego dzieje.

Mózg jego chmara myśli obsiadła.

Kocha Janinę. To już fakt dokonany. Ciepłe jakieś uczucie zalewa mu piersi. Życiu jego bra-

kowało dotąd tego ciepła właśnie, co sprawiało, że nigdy nie czuł się szczęśliwym.

— I potrzebowałam po to szczęście swoje aż do Paryża przyjechać... — myślał rozrzucony. — Bo że ta dziewczyna będzie szczęściem lub nieszczęściem mego życia, to aksjomat niezbity. Jużbym teraz po niej, na żadną kobietę nie spojrział. Coś niezwykłego musi być w jej charakterze, w jej obejściu, w powierzchowności, skoro takiego jak ja niedźwiedzia tak szybko obłaskawiła. I ja, wczoraj jeszcze... Nie! Tego sobie nigdy nie przebaczę! Diderot znał się na kobietach akurat tyle, co i ja prostak nieokrzesany. Ona zalotna, wyszukująca jakiegoś efektu, przybierająca pozę! Dalibóg, wypoliczkowałbym się z ochotą. Uciekałem od niej jak osioł, który oczywiście jedząc zwykle sieczkę, na wartości i smaku wytworniejszej potrawy poznać się nie umie.

Błądził po mieście bez celu poki głód i zmęczenie nie zapanowały nad nim.

Pokazało się jednak, że nerwy jego rozstroiły się nieco. Nie mógł jeść i leżąc na łóżku zamiast spać, wdychał.

Wątpliwość czy Janina zechce miłość jego przyjąć i podzielić, sprawiała mu ból nieznosny.

Państwo Grodzcy cioteczni wujostwo Janiny powrócili późnym wieczorem do domu.

Grodzki pocziwy, ale znękany człowiek mając więcej kłopotów, niżeli biedna jego głowa znieść mogła, przywiązał się do siostrzenicy jak więzień do promyka słońca, który wążutkim paskiem wpada do jego celki. Ożeniony z francuzką dość ograniczoną i zimną, nie mógł się żyć z nią duchem, jak nie potrafił się do ruchliwego życia Paryża przyzwyczaić.

Siedząc dziewięć godzin dziennie przykuty do biurka w wązkim, zadymionym pokoju, wdychał do szerokich łanów pszenicy i żyta, kwiecistych łąk i lasów, które wykołysały jego dzieciństwo, do ciłego, starego dworku, drzemiącego wśród lip i kasztanów. Wszystko co ukochał, zostało za nim; do nowego trudno było nawyknąć.

— Gdybyś tak myślał więcej o tem, by zajęcie korzystniejsze dostać, pieniędzy trochę złożyć... — mówiła małżonka. — Ale Polak pracy nie lubi... Pieczone gołąbki odrazu jeść... To wam się podobali!

Grodzki uśmiechnął się smutno. Wyłysiałe przedwcześnie czoło, zgarbione jak u starca plecy, zaczerwienione pod ciemnymi okularami oczy, jakże wymowne o jego pracy mogły dać świadectwo.

Janina przywiązała się do niego serdecznie. Żal, litość bezmierną budził w niej twardy żywot zaprzęgniętego do ciężkiej taczki człowieka, wołu roboczego, któremu los nawet w godzinach odpoczynku rzadkich, skąpił jedyne dobre — spokoju.

Wieczorna herbata zgromadziła wszystkich przy stole jadalnym. Rozespane chłopcy kiwały się na stołkach, pięcioletnia dziewczynka popłakiwała wyciągając rączkę po sucharek, pani Grodzka pisała coś pilnie w notesiku obojętna na wszystko.

Biała, pogodna twarz Janiny i jasna jej suknia z różą przy staniku wlewały jakiś ton jaśniejszy w ponure tło tego zimnego domowego ogniska.

Głos jej dzwięczny, wesoły rozbrzmiewał niekiedy srebrzystą gammą śmiechu, budząc odbłask życia w martwej twarzy Grodzkiego.

— Wujaszku, będzie wujaszek miał gości — mówiła, rozlewając herbatę. — Pan Darski był tu dzisiaj. Odwiedzi wkrótce wujaszka.

— Darski? Któż to taki, Janinko?

Roześmiała się z pustotą dziecka.

— Czy ja wiem, wujaszku? Wczoraj budził gniew me mnie, dziś rozmawiałam z nim bardzo uprzejmie. Niekiedy szorstki do gburowości uosobiona powaga, surowość... Chwilami znowu, jak dziś naprzykład łagodny jak dziecko i niezmiernie sympatyczny.

— My nie posiadamy środków na przyjmowanie gości, Jeanne, — wtrąciła cierpko wujenka.

Ciemne brwi Janiny na krótką chwilę zbiegły się z sobą.

— To gość niekosztowny, wujenciu — odparła spokojnie.

Grodzki ożywił się nieco.

— Darski... — powtarzał cicho — Darski? słyszałem to nazwisko. Lipiny należały do Darskich...

— Nie, nie, wujaszku! — przerwała z uśmiechem Janina. — To nie z tych Darskich. Ten, o którym mówię, wyrósł z nędzy, chociaż obecnie posiada miliony. Zdaje mi się, że pochodzi z gminu... U nas w kraju fabryki jego są bardzo rozległe... Zanim spadek otrzymał, już był bogatym człowiekiem.

Coś jak cień uśmiechu poruszyło bezbarwne wargi Grodzkiego.

— Zaciekawiasz mnie, Janiu. Szanuję klasę przemysłowców. Kraj im zawdzięcza względny chociaż dobrobyt... — mówił powoli, jak człowiek bardzo zmęczony. — Już to samo że ty go chwalisz... Hm! książki i aspiracje do profesorskiej katedry, może będą musiały mężowi ustąpić...

Przytrzymał rękę siostrzenicy i spojrział w jej twarz badawczo.

Wesołość Janiny pierzchnęła.

— Co też wujaszek mówi... — broniła się zapłoniła. — Mówiłam przecie wujaszku, że za mąż nigdy nie pójdę.

— Każda panna tak mówi... — odezwała się swoim suchym, bezbarwnym głosem Grodzka. — A idzie każda, żeby potem biedę klepać, jeśli przy wyborze męża nie umiała dobrze rachować.

Janina odczuła strzał wymierzony w stronę wuja.

— Spadniesz z krzesła, Armandzie — zawołała, zwracając się do dziesięcioletniego chłopca. — Pójdź, przeprowadzę cię do sypialni...

Wiedziała, że to był najlepszy sposób zażegnania sprzeczek.

Niez mordowana w swej troskliwości o dzieci Grodzka, biegła zaraz do dzieciennego pokoju obejrzeć, czy łóżeczka wygodnie usłane, umyte, uczesane swoich rozgrymaszonych pieszczołów, a po odbyciu ceremonii tej, czuła się zawsze tak znużoną, że nie wracała już do jadalnego pokoju.

Były to jedyne, miłe chwile pogawędki dla Grodzkiego i Janiny. Dziś jednakże los wypłatał im figla.

Dzieci zmęczone przejażdżką usnęły odrazu. Pani Grodzka wróciła z niezwykle uroczystą miną.

Janina wysunęła się do swego pokoju. Miała się przygotować do jutrzejszego wykładu, lecz pierwszej po raz dziesiąty chyba odczytała list matki i Amelki.

Z wypogodzonych jej rysów wesołość zniknęła, zwolna, w miarę jak się czytywała w ustępy listu który jej tyle radości sprawił.

Jak ona mogła nie zauważyć, że wieje z niego smutek tajony, przynębenie!

Zdawało jej się, że w niektórych miejscach, odnajduje małe plamki błękitne powstałe wskutek zetknięcia się z atramentem, drobnej, kryształowej kropelki która z oczu mateczynych na papier spadła. Ten list tak gorąco witany, stawał się naraz dziwnie przezroczystym.

— Co się tam stało? — wybuchnęła wreszcie z rozpaczą.

I naraz cała tęsknota, niepokój spychany na dno serca codziennie by myśli od nauki nie odrywał, szarpnęły jej sercem.

Ach, gdyby mogła, gdyby mogła znaleźć się tam choć na chwilę! Z jaką ulgą wracałaby potem do tego wstrętnego Paryża gdzie jej tak obco, smutno!

Z bolesnej zadumy zbudził ją głos wujenki.

— Jeanne, czy matka nie przysłała ci pieniędzy? — spytała prosto, pożądlwym wzrokiem obejmując białe ćwiartki welinu.

Janina zarumieniła się gwałtownie.

— Mama obiecuje wysłać pieniądze w ciągu dni kilkunastu... — odparła.

Grodzka skrzywiła się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

Londyn jeszcze nie wyludnił się tak, jak to bywa zwykle o tej porze, gdy po ukończeniu obrad parlamentu posłowie wracają do dworów lub pałaców swoich pod cień parków, jakich po za Anglią nie wiele znaleźć można. Sfery arystokratyczne przedłużają tu swój pobyt z powodu zaślubin księżniczki Maud, córki księcia Walii, wychodzącej za królewicza duńskiego, a uroczystość ta w rodzinie królewskiej bardzo wspaniale będzie obchodzona. Królowa Wiktorja obdarzyła wnuczkę pysznymi klejnotami, między którymi znajduje się sznur pereł bajecznej wartości. Pannę młodą będzie prowadzić do ołtarza ojciec, tak jak i oblubienica co doda powagi obrzędowi, druchniami będą córki najstarszej arystokracji, przeciwieściej ten orszak nie będzie olśniewał oczu strojami, bo królowa Wiktorja jest przeciwna zbyt wykwintnym toaletom, zwłaszcza przy takim obrzędzie. W ogóle wszystko na jej dworze jest skromne; damy dworu muszą się stosować do tego, niemniej królowa obdarza je wspaniałymi podarkami i zajmuje się nimi przychylnie, po macierzyńsku.

Zwykle też wychodzą wkrótce za mąż, lecz królowa i wtedy nie zrywa łączącego je z nią węzła; interesuje się ich losem, ich szczęściem domowym, jest też niemal ustalona opinia, że wszystkie są do bremit żonami i matkami rodzin, co przypisują wpływowi dostojnej pani, jej przykładowi, jej przekonaniom co jest obowiązkiem kobiety żony i matki, naczelniczki rodziny. Niemniej przeciwieściej angielska nie zamyka się wyłącznie w tem kole; zajmuje się gorąco sprawami ogółu i nie chce pozostać tu bierną na stronie. Pragną one aby jako obywatelki Anglii miały udział w żywotnych jej sprawach i ruch w tym kierunku co raz się wzmacnia. Nie jest to przeciwieściej tak zwana emancypacja — emancypacja z obowiązków i zadań kobiety; chcą przede wszystkim mieć tu głos, któryby objaśniał jakim powinien być postęp w rozwoju wewnętrznego życia kraju, w układzie stosunków rodzinnych.

Pragną też pozyskać sobie prawo głosowania, przez które kobieta wyraziła by to wszystko ogółowi swojemu. W początkach bieżącego tygodnia zebrało się ich w Westminster Hall liczba znaczna, które zażądały aby petycja którą chcą przedstawić parlamentowi, została wniesiona. Petycję podpisało 257,000 kobiet, wśród których mieściło się 57,800 mieszanek miast a 140,700 wieśniaczek Anglii, Walii i Szkocji, co zostanawiać nam się każe i dowodzi że wykształcenie jest tu niepospolite wśród ludności klas różnych. Oto 57,270 szkółek odczytało się piśmiennie i ustnie za przypuszczeniem kobiet do głosowania i gdyby dano im ten głos tak, jak to jest w kwestyi dobroczynności, w kwestyach szkół, nie było by wśród głosujących przewagi męczyzn. Dowód to że kobiety tutejsze nie próżnują, że się łączą z ruchem życia ogółu i zaznaczają się w dążeniach do postępu, jak to wykazała właśnie wystawa rolnicza w Londynie, która mówiąc nawiasem była w stolicy Anglii niezwykłą rzeczą i zrazu nie ściągała też do siebie ciekawych. Ale gdy ją zwiedziła dwukrotnie księżna Walii z mężem, a następnie lord mayor Londynu, ludzie zachcieli tam zajrzeć i zobaczyli, że jest tu co oglądać.

Druga wystawa rozłożyła się też w tym czasie na East London w gmachu Pałacu ludu, „Peaple Palace“, wystawa przemysłu i kupiectwa. Jest tu co widzieć, cudzoziemiec szczególnie znaleźć tu może nie mało rzeczy, które go zajmą, lecz oglądając przedmioty wystawy zwrócić należy uwagę i na sam gmach, który jest nietylko budynkiem okazałym, ale mieści w murach swoich rzeczy wielce godne widzenia, zbiory różnego rodzaju i tylko zadziwić się trzeba, że nie ma tu biblioteki. Ktoś też napisał w Timesie, że jest to jak klasztor bez kaplicy, bo biblioteka zgromadzająca odpowiednie książki z różnych kierunków wiedzy, oświecała by tych którzy by tu po oświatę przybywali.

Niemniej przeciwieściej każdy, kto szukać umie, znajdzie tu rzeczy z jakimi nie łatwo spotkać się gdzie indziej. Podmorska kolej elektryczna w Brighton to dla podróżnika, który się tu znajdzie raz pier-

wszy, przedstawia coś zbliżającego się do cudu. Zdradliwy to przecież żywioł te fale słone, w tych dniach właśnie okręt Drumont rozbił się tuż prawie u wybrzeży Francji pod Brestem i w przeciągu minut kilku poszedł na dno; niewielu ludzi ocalono od tej śmierci okrutnej, krąży przecież wieść że dwie łodzie z rozbitkami zapędziły się na pełne morze i zdołają jeszcze dobić się gdzie do brzegu, lub do wysepki jakiej, a łączy się z tem jeszcze bardzo smutna historia. Jednym z owych nieszczęśliwych był młodzieniec, mający wkrótce zaślubić gorąco kochaną i kochającą dziewczę; względy majątkowe zmuszały do odwołania ślubu, a gdy wreszcie po dwóch latach oczekiwania wszystkie te przeszkody zostały usunięte, okrutna katastrofa rozdzieliła kochanków, a tragiczna ta historia tak wzruszyła ludzi dobrego serca, że gronko ich, siedemnastu młodzieńców, zajęło się poszukiwaniem zaginionego, czy już nie żyjącego. Posypały się składki na koszt podróży i biedna dziewczyna chwileje się między nadzieją i rozpaczą.

Stowarzyszenie biblijne bardzo rozgałęzione w Anglii a rozsyłające członków swoich w różne strony świata, zaleciło im zwracać uwagę na przypuszczalne odkrycie zaginionego, a jest ono wielce czynne i energiczne jak tego dowodzą rezultaty. W przeciągu ostatnich trzech lat wypuszczono w obieg 3,970,439 egzemplarzy tak starego testamentu, jak i ewangelii, a dodać trzeba że ludy mahometanśkiego, wyznania wykupiły liczbę ich wielką i rozchodzą się po całym świecie. Do środkowej Afryki idzie ich mnóstwo, Anglia ma też prawo powiedzieć, że pracuje nie leniwie nad rozszerzeniem chrześcijaństwa.

Duch stowarzyszeń jest wielką siłą i Anglia opiera się mocno na tej kotwicy, a prace wychowawcze zyskują na tem bardzo. Jest na przykład między innemi „Stowarzyszenie wesołych wieczorów dzieciennych” a należą do niego najdostojniejsze osoby płci obu: margrabia Londonderry, prezes zarządu szkół londyńskich, przyjął bardzo wdzięcznie Stowarzyszenie jako wielką pomoc w sprawach wychowania i bardzo wiele pań ze sfer wszelkich weszło do niego. Opiera się ono na podstawach bardzo rozumnie pojętej pedagogiki a dość powiedzieć, że Gladstone jest jednym z członków zarządu. Aby stowarzyszenie rozpowszechniło się między rodzinami, aby zyskiwało sobie zwolenników w rodzinach i wychowawcach, osoby należące do stowarzyszenia, panie szczególnie, bywają na tych wieczorach a obok tego objaśniają tak piśmiennie, jak ustnie jego cel, oraz środki działania. Trzeba też przyznać kobietom angielskim, że poczuwają się szlachetnie do obowiązku przyłożenia ręki tam, gdzie ich współudział jest użyteczny społeczeństwu. Obecnie zamierzają założyć bezpłatną szkołę rysunku dla klas niezamożnych jako pomoc w doskonaleniu się rzemiosł a dodać trzeba, że myśl ta wyszła od osób ze sfer wyższych, które nigdy nie zaznały braku, nie uczuły troski o byt drogiej ich osób.

Henryk.

Z bieżącej chwili.

— Składki na budowę organów w kościele po-pi-jarskim przy ulicy Święto-jańskiej napływają mniej licznie jak poprzednio a organy te są tak uszkodzone, że wkrótce trzeba będzie je rozebrać i zastąpić czasowo fisharmoniką. Dyrektor chórów, p. Władysław Nowoczyński prowadzi tymczasowo spiew

z udziałem znacznej liczby śpiewaków i śpiewaczek, próby już się wkrótce rozpoczną, ale potrzeba pewnego czasu, aby się rzecz uregulowała odpowiednio.

— Rada miejska dobroczynności publicznej za-twierdziła na ostatniem posiedzeniu zapis uczyniony przez ś. p. B. Magalską, 8,200 rs., w papierach procentowych i wierzytelnościach na różne zakłady dobroczynne, zostające pod zawiadywaniem War. Towarzystwa Dobroczynności z tem zastrzeżeniem, aby suma 2,500 rs., mieszcząca się w papierach procentowych, została przeznaczoną na potrzeby tegoż Towarzystwa Dobroczynności.

— Przytułek dla paralytyków i nieuleczalnie chorych imienia Feliksa Sobańskiego, mieszczący się przy ulicy Nowowiejskiej, okazuje się niewystarczającym dla osób żądających pomieszczenia i opieki, wskutek czego postanowiono budynek Przytułku znacznie rozszerzyć. Poszukiwaniem też jest przedsięwzięcia robót budowlanych, lub majstrowie którzy podjęli by się w całości lub częściowo wykonania robót, choćby rozłożonych na lat kilka. Szczegółowe informacje udziela kancelarya Przytułku, ul. Nowowiejska Nr. 32/1754.

— Konkurs ogłoszony przez Salon artystyczny na Nowym-Swiecie na najlepiej malowany krajobraz stawia takie warunki: 1) Figury i zwierzęta mogą być pomieszczone, lecz jako przedmiot dodatkowy. 2) Wielkość obrazu nie większa jak metr w jednym wymiarze. 3) Sposób malowania dowolny: olejny, akwarela lub gwasz. Dzieła nadesłane na konkurs muszą być na miejscu (Nowy-Swiat Nr. 27) najdalej w d. 10 października, wystawa konkursowa otwarta będzie do d. 15 października. Kwalifikacją dzieł zajmie się delegacja Salonu, która przyjmować będzie tylko prace odznaczające się odpowiednimi zaletami. Nagrody będą dwie, każda po 100 rs., z których jedna przyznana zostanie obrazowi wyróżnionemu przez artystów, nie biorących udziału w konkursie, druga zaś większością głosów danych przez publiczność zwiedzającą wystawę. Nagrody będą wypłacane niezwłocznie po obliczeniu głosów tak artystów, jak i danych przez publiczność.

— W Towarzystwie sztuk pięknych otwarto wystawę pośmiertną dzieł pozostałych po ś. p. Aleksandrze Świeszewskim, malarzu niedawno zmarłym w Monachium. Wystawa składa się z pięćdziesięciu trzech płócien, niemal wyłącznie z zakresu malarstwa krajobrazowego okolic tatrzańskich, oraz dwa portrety: Chałubińskiego i Sabały. Leopold Horowitz maluje portret cesarza Franciszka Józefa,

przeznaczony na podarunek dla królowej Wiktorji angielskiej. Cesarz pozuje mistrzowi.

— „Encyklopedia ilustrowana wiadomości po-żytecznych,” wydawana nakładem M. Arcta, obejmować ma całość w 26 zeszytach i prawdopodobnie ukończyć się może w przeciągu dwóch lat a kosztować będzie 6 rs., i coś drobnych, lub taniej jeszcze, gdy opłata uiszczoną zostanie z góry.

— Wydelegowany przez wydział krajowy do Brazylii prof. Siemiradzki otrzymał zadanie zbada-nia na miejscu losu wychództwa ludu z Galicji. Siemiradzki wyruszył w podróż w początkach bie-żącego miesiąca i bawić tam będzie około czterech miesięcy. Można też spodziewać się niepowierz-choznego ocenienia tej sprawy wielce ważnej. Lwo-wskie Towarzystwo handlowo-geograficzne zwróci-ło się do ogółu z prośbą o nadsyłanie pod jego adre-sem (ul. Mochnackiego Nr. 12) wszelkich przedmio-tów, które wysyłane będą do Parany dla wychódz-ców galicyjskich.

— Wychodźcy do Ameryki proszą usilnie o przy-bycie tam lekarzy naszych tak dla tego, że przez brak znajomości naszego języka nie mogą dosta-tecznie zbadać stanu chorych, z drugiej że lekarze tamtejsi bardzo drogo każą sobie opłacać udzieloną im poradę. Pewien lekarz w New-Yorku, który le-czył przez lat dwa córkę milionowego bogacza otrzy-mał honorarium 87,000 dolarów; inny specjalista chorób usznych wezwany z New-Yorku do Saint Paul, zażądał 5,000 dolarów tak za trud jak i za stratę czasu, co wypłaconem zostało mu bezspornie. Siemiradzki ma towarzysza w osobie księdza Rozdzielskiego, ale wieści żadne jeszcze od nich nie nadeszły, a powrót nastąpić może ledwie za pół roku. Przybył tylko powracający z New-Yorku Ignacy Padarewski, któremu podróż ta suto się opłaciła, bo 28 koncertów przyniosło mu 416,000 rs. Jeden koncert w Chicago dał mu 15,000 rs., dwa następne w Saint Louis 18,000 rs., trzy w New-Yor-ku 22,000 rs. i tak dalej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: ark. 8 i 9 powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy” w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenu-meraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—„Przy walczyku Szopena,” przez Stefana. — Druga wystawa higieniczna w Warszawie, przez vickiego. — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — List z Anglii przez Henryka. — Z bie-żącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 8 i 9.—Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie.—Dyspozycja stołu.